

Dialog polskiego kina ze światem

Rozmowa z Mariolą Wiktor - krytykiem filmowym na temat Festiwalu Filmowego w Cannes 2018 r.



Joanna Sokołowska-Gwizdka

Podczas tegorocznego Festiwalu Filmowego w Cannes „Zimna wojna” Pawła Pawlikowskiego otrzymała Złotą Palmę za reżyserię. Czym wyróżnił się film, że dostał tak prestiżową nagrodę?

Mariola Wiktor

- Ze wszystkich pokazywanych w Cannes filmów „Zimna wojna” była niezwykle jednorodna artystycznie, wszystkie elementy filmu są tutaj dopracowane i spójne. Jest to piękna historia ludzi, którzy naprawdę się kochają i chcą, choć jednocześnie nie mogą – ze sobą być. Na to nakłada się historia, zimno-wojenne stosunki polityczne, marzenia o życiu i pracy na Zachodzie. Widzimy komunizm, który niszczy jednostki. I zaczynamy rozumieć, dlaczego ludzie uciekają w uczucia. Historia Zuli (Joanna Kulig), solistki w zespole „Mazurek” (domyślamy się, że to odpowiednik „Mazowsza”) i kompozytora Wiktora (Tomasz Kot), jest więc głęboko osadzona w realiach tamtego czasu.

Film jest nie tylko melodramatem, ale też hołdem oddanym polskości. Paweł Pawlikowski powiedział, że dla niego polskość to są smaki, zapachy, wspomnienia, to są ludzie, a nie system czy mechanizmy historii. Ta szeroka definicja patriotyzmu jest

czytelna w kontekście filmu. Reżyser „Zimną wojnę” dedykował swoim rodzicom, bohaterowie otrzymali też ich imiona. Paweł Pawlikowski wyjechał z Polski, gdy miał 14 lat. Jego rodzice rozstawali się, zakładali za granicą nowe rodziny, potem wracali do siebie. Jest to więc częściowo autobiograficzny film, bardzo osobisty.

Ważną rolę w filmie pełni muzyka. Bohaterowie jeżdżą po wsiach w poszukiwaniu melodii ludowych. Kiedy Wiktor wyjeżdża do Paryża, gra w klubach jazzowych, pojawia się więc wspaniała jazz, który był wówczas w Polsce muzyką imperialistyczną, a więc i zakazaną. Połączenie ludowości i jazzowych standardów sprawia, że film stał się też porywającym filmem muzycznym. Muzyka jest znakomicie zgrana ze zdjęciami i swego rodzaju nostalgią za minionym czasem.

Czego zachodni widzowie po obejrzeniu „Zimnej wojny” dowiedzieli się o Polsce?

- Po projekcji filmu mówiło się, że film pozwala zrozumieć, na czym polegał komunizm w Polsce i jak ten system wyjaławiał ludzi. Do tej pory, jeśli w polskiej kinematografii pojawiał się film na temat rozliczeń z komunizmem, to przeważnie pokazywano postacie heroiczne, wielkich bohaterów. W tym filmie Zula i Wiktor są zwyczajnymi ludźmi, mają swoje marzenia, chcą lepiej żyć, popełniają błędy. Zula pochodzi z małej miejscowości, jest

pełna kompleksów, trudno jej uwierzyć, że ma talent. Nie umie też przyjąć miłości Wiktora, bo nie ufa, że taki wykształcony człowiek mógłby się w niej zakochać. Boi się z nim wyjechać na Zachód, bo przecież nie zna języka, mogłaby sobie nie poradzić. A w „Mazurku” znalazła swoje miejsce, jest solistką, jest uwielbiana. Nie rozumie, że w życiu nie to jest najważniejsze. Wiktor jest na tyle dojrzały, że chce, aby to ona sama podjęła decyzję. Wciąż więc się mijają, szukają szczęścia z innymi partnerami, ale cały czas myślą o sobie i do siebie wracają. Jest to więc historia dwójki normalnych ludzi, z ich wątpliwościami i trudnymi wyborami, pozbawionych odium bohaterstwa, wplątanych w mechanizmy historii. Taka historia jest czytelna i łatwo się z nią niepolskiemu odbiorcy utożsamić

W tym roku byłaś 19-ty raz na Festiwalu Filmowym w Cannes. Jak odebrałaś sukces polskiego filmu?

- Nigdy wcześniej nie doświadczyłam tego, że wchodząc do Grand Théâtre Lumière, w konkursie głównym, słyszałam język polski. To było wzruszające przeżycie. Bardzo miłe były także gratulacje od naszych kolegów, dziennikarzy z całego świata. Publiczność w Cannes jest bardzo wyrafinowana i nie skora to entuzjazmu oraz łatwych emocji. Chętniej „wybuczą” niż zaklaszczą. A przy „Zimnej wojnie” przez 15 minut trwała owacja na stojąco

Cudownie było widzieć jak Joasię Kulig obejmuje Julianne Moore, jak Benicio Del Toro bije brawo. W Cannes sukces odniósł Ryszard Bugajski i jego „Przesłuchanie”. To było 28 lat temu. Wcześniej na początku lat 80. doceniono Andrzeja Wajdę i jego „Człowieka z żelaza”. Ale dopiero sukces „Zimnej wojny” przełamał poczucie, że Cannes jest dla Polski niedostępne.



Mariola Wiktor z Joanną Kulig („Zimna wojna”), Cannes, maj 2018 r.



Mariola Wiktor, Cannes, maj 2018 r.

Na tegorocznym festiwalu w Cannes pokazywanych było siedem polskich produkcji. Zauważona została „Fuga” Agnieszki Smoczyńskiej.

- W sekcji Tydzień Krytyki Filmowej, gdzie zaprasza się największe sławy, zaproszono w tym roku Agnieszkę Smoczyńską. Scenariusz napisała aktorka Gabriela Muskała i ona też zagrała główną rolę. Agnieszka Smoczyńska znana jest z filmu „Córki dancingu”, który odniósł wielki sukces za granicą. Jednakże „Fuga” jest filmem zrobionym w innej konwencji niż surrealistyczne „Córki dancingu”. Jest to jak najbardziej

realistyczny film z sekwencjami z pogranicza snu. To historia kobiety, która traci pamięć w wypadku i na dwa lata znika z życia rodzinnego. Po tym czasie powraca. Nie poznaje męża, matki ani dziecka, a oni muszą się nauczyć z nią na nowo żyć. Wieloletnie związki często dopada rutyna. W tej rodzinie każdy musi ponownie nauczyć się swojej roli i zaakceptować swoją inność. To jest inny, bardziej nowoczesny sposób sportretowania rodziny. Paradoksalnie trauma może być ożywcza i ozdrowieńcza.

Ciekawie pokazane są niektóre sekwencje. Bohaterka znajduje się w lesie, w całkowitych ciemnościach, widzimy tylko jej jasny płaszcz i fragment torów kolejowych. Z wielkim wysiłkiem próbuje się wydostać z jakiejś czeluści - alegoria wysiłku w odzyskaniu pamięci i wyjścia z czarnej dziury. Świetne role Gabrieli Muskały i Łukasza Simlata, który gra jej męża. W czasie, kiedy miała odbyć się projekcja „Fugi” pokazywany był film Larsa von Triera. I ludzie wychodzili z filmu von Triera, żeby zdążyć na Agnieszkę Smoczyńską. Ja też.

Kolejnym filmem z polskim udziałem w na tegorocznym festiwalu była animacja na podstawie książki Ryszarda Kapuścińskiego „Jeszcze jeden dzień życia”.

- To świetny film zrealizowany w koprodukcji polsko-hiszpańsko-belgijsko-niemiecko-węgierskiej przez Damiana Nenowa i Raúla

de la Fuente. Jest to historia Ryszarda Kapuścińskiego, który jedzie do Angoli w 1975 roku, tuż przed odzyskaniem przez Angolę niepodległości. Trzeba było być niezwykle odważnym i szalonym, żeby w tak gorącym czasie jechać na południe Afryki, w zasadzie na pewną śmierć. Ważne było przesłanie, że w tak ekstremalnych warunkach, to co reporter zarejestruje ma wartość ocalającą. Reporter ma więc misję do spełnienia. Jego obecność nie tylko odtwarza rzeczywistość, ale też ją kreuje. Dlatego jedzie się do takich niebezpiecznych miejsc, bo dla tamtych ludzi jest bardzo ważne poczucie, że na ich śmierci nie skończy się pamięć o nich.

Ciekawa jest hybrydowa forma filmu, połączenie animacji z dokumentem. Animacja poprzez swoją symboliczność i alegoryczność, jest w stanie udźwignąć okropieństwa wojny. W dokumencie, w naturalistycznym zapisie byłoby to nie do zniesienia.

Jakie jeszcze polskie akcenty pojawiły się w tym roku w Cannes?

- W związku z tym, że Jerzy Skolimowski kończy w tym roku 80 lat, a od realizacji „Startu”, pierwszego zagranicznego filmu reżysera minęło 50 lat, przypomniano go podczas pokazu na canneńskiej plaży. Film odniósł wówczas duży sukces, zdobył Złotego Niedźwiedzia na Festiwalu w Berlinie oraz nagrodę

Międzynarodowej Unii Krytyki Filmowej na Berlinale. Główną rolę Marca, praktykanta w eleganckim salonie fryzjerskim, który pragnie wziąć udział w rajdzie samochodowym, zagrał świetny aktor Jean-Pierre Léaud, aktor Godarda i Truffauta. Po sukcesie filmu Jerzy Skolimowski mógł zostać na Zachodzie, ale wrócił do kraju. Wspominał, że za pieniądze zarobione na filmie kupił sobie Forda Mustanga. Sprzedał go potem Czesławowi Niemenowi.

Poza tym w *Cinefondation* mieliśmy animację. Studentki łódzkiej Filmówki Marty Magnuskiej pt: "Inny", zaś w *Short Film Corner* animację Marty Pajek „III”. Z kolei w sekcji *Un Certain Regard/Inne Spojrzenie* z entuzjastycznym przyjęciem spotkała się koprodukcja południowoafrykańsko-francusko-grecko-polska „Żniwiarze” w reż. Etienne Kallosa z przepięknymi zdjęciami Michała Englerta i z udziałem polskiego koproducenta Mariusza Włodarskiego.



Mariola Wiktor z Gabriela Muskała („Fuga”), Cannes, maj 2018
r.



Mariola Wiktor z Tomaszem Kotem („Zimna wojna”), Cannes, maj 2018 r.

Jakie cechy współczesnego polskiego kina są na tyle uniwersalne, że mogą być zauważone i cenione na świecie?

- W ostatnich latach na polskim rynku filmowym pojawiło się wielu młodych, kreatywnych reżyserów i producentów. Są to ludzie dobrze wykształceni, znający języki, bez kompleksów, potrafiący nawiązywać kontakty. Jeżdżą na festiwale filmowe, warsztaty, *pitchingi*. Widzą, czym żyje świat i jakie kino się przebija. To jest świetne sprzężenie - kreatywni producenci i młodzi reżyserzy, którzy nie boją się szukać pieniędzy wchodząc w koprodukcje. Oni pokazują świat z własnej perspektywy - moje

podwórko, moja rodzina, moja babcia, pokazują problemy osobiste, wręcz intymne, ale też i autentyczne. I to przemawia do zachodniego widza. To już nie jest wielka historia czy wielka polityka, ale zwyczajne życie, wybory, dylematy, problemy dojrzewania, brak perspektyw, samotność, wyobcowanie i to są problemy wspólne na całym świecie. Te filmy są przy tym robione bardzo nowoczesnym językiem filmowym. Są uniwersalne.

Wydaje mi się, że także te pierwsze filmy Jerzego Skolimowskiego z lat 60. („Start”, „Rysopis”, „Walkower”) zdobyły taką popularność na Zachodzie, bo reżyser próbował uciec od wielkich tematów, od uwikłań historycznych. Jego filmy opowiadały o zwyczajnych ludziach, którzy o coś walczą, którym na czymś zależy, ale z perspektywy jednostki, konkretnego człowieka.

Tak więc jeśli film traktuje o egzystencjalnych problemach zwykłych ludzi, nie jest hermetyczny dla Zachodu. To kino, które nie chce niczego uczyć, zbawiać świata, wolne od ideologicznych przesłań, stawiające pytania, nie odpowiedzi. Oczywiście nie można powiedzieć, że historia nie jest ważna bo ona nas ukształtowała, ale młode pokolenie ma szansę spojrzeć na nią z dystansem. Ci młodzi twórcy, urodzeni w latach 90., żyli w zupełnie innej Polsce niż urodzeni w PRL-u. To jest pierwsze pokolenie nie obciążone traumami przeszłości. Dlatego łatwiej im

znaleźć wspólny język ze światem.

Czerpię ze spotkań z niezwykłymi ludźmi

Rozmowa z reżyserką Anną Jadowską

Film jest takim medium, które potrafi rezonować z rzeczywistością w najszybszy sposób, odpowiada też percepcji współczesnego człowieka - opowiadała nam w wywiadzie o swojej pasji filmowania i reżyserowania Anna Jadowska. W nim najpełniej można wyrazić emocje, zapisać wrażenia. I na wszystkich tych etapach doświadczam głębokich spotkań z niezwykłymi ludźmi, z których wiele czerpię.



Anna Jadowska na planie filmowym, fot. arch. A. Jadowskiej.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Jest Pani autorką kilku dokumentów, filmów fabularnych, reżyserowała również seriale. Skąd wzięło się u polonistki zainteresowanie filmem? Dlaczego tę właśnie formę wypowiedzi uznała Pani za odpowiednią dla siebie?

Anna Jadowska: Był czas, kiedy poszukiwałam swojej drogi. Po polonistyce pracowałam w Polskim Radiu, potem zdawałam do szkoły filmowej, nie mając do końca świadomości, dlaczego.

Pisałam natomiast opowiadania i bardzo to lubiłam, sądziłam więc, że literatura będzie tym, czym będę się w przyszłości zajmować. Kiedy jednak poczułam, że zaczynam się stabilizować, zaczęłam czegoś poszukiwać, aby od tego uciec. Do PWSFTviT w Łodzi dostałam się za pierwszym razem i mam wrażenie, że czegoś się tam nauczyłam. Sądzę, że film jest takim medium, które potrafi rezonować z rzeczywistością w najszybszy sposób, odpowiada też percepcji współczesnego człowieka. W nim najpełniej można wyrazić emocje, zapisać wrażenia. Lubię także wieloetapowy proces pracy nad filmem – to, że najpierw powstaje scenariusz, potem się go realizuje, wreszcie montuje. I na wszystkich tych etapach doświadczam głębokich spotkań z niezwykłymi ludźmi, z których wiele czerpię.

Z pewnością takie spotkania zaczęły się już na studiach. Kogo wspomina Pani w sposób szczególny?



Anna Jadowska, fot. Rafał
Placek.

A.J.: Ze szkoły filmowej najwięcej zawdzięczam Wojciechowi Marczewskiemu, u którego robiłam film dyplomowy. Natomiast w przypadku mojego ostatniego filmu: „Dzikich róż” wiele zawdzięczam Agnieszce Holland - konsultowałam z nią scenariusz, oglądała także film na różnych etapach jego powstawania. To ogromnie ważne, aby film mogli zobaczyć ludzie o takim doświadczeniu, jak ona i skierować go na

odpowiednie tory.

Pani już na studiach zrobiła pierwszy niezależny film wraz z Ewą Stankiewicz. „Dotknij mnie” podejmował bardzo trudne tematy. Czy ten temat pojawił się dzięki temu, co zobaczyłyście w Łodzi - mieście biednym, pełnym bezrobotnych ludzi?

A.J.: Tak właśnie było! Kiedy trafia się do Łodzi, szkoła filmowa jest rodzajem wyspy, na której się przebywa. Natomiast kiedy zaczyna się rozumieć to miasto, widzieć je i być naprawdę pośród tych ludzi, to jest to doświadczenie dojmujące i nie można pozostać obojętnym. „Dotknij mnie” wziął się z takiej obserwacji. Teraz, kiedy mieszkam w Warszawie, mam wrażenie, że życie w Łodzi bardziej wychodzi na ulicę. Trochę jak na wsi - bramy wypełnione ludźmi, którzy się spotykają, długo ze sobą rozmawiają, czasami awantury przenoszą się na zewnątrz... Robiąc „Dotknij mnie” wiele wzięłyśmy z tej ulicy. Bohaterka tego filmu, grana przez Ewę Szykulską, jest odbiciem łódzkich kobiet, które po przekroczeniu pewnego wieku coś tracą - nie ma w ich wyglądzie różnicy między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia. Kiedy oddają się rodzinie, sprawiają wrażenie, jakby traciły własną indywidualność - szarzeją, jak gdyby pozbawiono je wewnętrznej energii.

Jest Pani również autorką filmów dokumentalnych. Czy

praca nad dokumentem wpływa w jakiś sposób na sposób Pani podejścia do fabuły?

A.J.: Lubię dokument i robiąc filmy dokumentalne odnoszę wrażenie, że dużo się uczę o fabule. Fascynuje mnie zapis dokumentalny prawdziwego życia, bo ma naturalną, niewymuszoną dramaturgię i skupia się mocno na bohaterze. To jest sposób narracji, który mi odpowiada. Po zrealizowaniu „Trzech kobiet” z operatorką Małgorzatą Szyłak, kiedy cierpliwie obserwowaliśmy przez dwa lata nasze bohaterki, doszłam do wniosku, że życie pisze najlepsze scenariusze. To była prawdziwa lekcja pokory. Uświadomiłam sobie, jak niewiele można sobie wyobrazić, choćby to, jak niekiedy małe elementy ludzkiego życia mogą stać się przyczyną wielkich zmian i odwrotnie. Dzięki tej pracy zaczęłam inaczej pracować nad scenariuszem.



Anna Jadowska (z lewej) na planie filmu „Z miłości” z aktorką Anną Ilczuk, fot. R. Pałka.

Czyli można zaryzykować stwierdzenie, że narracja dokumentalna wpłynęła na Pani sposób opowiadania fabuły? Oglądając „Dzikie róże” miałam takie wrażenie, jakby Pani bohaterowie byli wyjęci z życia, prawdziwi.

A.J.: Trochę tak się stało.

Czy ma Pani wpływ na kształt filmu na wszystkich jego etapach?

A.J.: Tak rzeczywiście jest. Moje kino ma charakter autorski. Oczywiście, muszę liczyć się ze zdaniem producenta, konsultuję scenariusz itd., ale wybory należą do mnie. Każda opinia może być cenna i ważna.

A jak to jest z tematami - same przychodzą czy niekoniecznie?

A.J.: Na pewno nie jest to rodzaj kalkulacji, ale coś musi mnie poruszyć. Czasami pojawia się jakaś scena, która staje się impulsem i ją rozwijam. Z drugiej strony, mam mnóstwo scenariuszy, których nie zrealizowałam. Ale na tym to polega, żeby tworzyć i wybierać.



Anna Jadowska, portret, fot.
arch. A. Jadowskiej.

W „Dzikich różach” podejmuje Pani problem trudnych relacji w rodzinie, a także dojrzewania poprzez

macierzyństwo. Jest to właściwie film o trzech kobietach, których portrety przedstawia Pani bardzo wyraziście. Jak Pani pracuje z aktorami i z amatorami, aby takie wspaniałe efekty osiągnąć?

A.J.: Nie mam żadnych magicznych metod (śmiech). Pracuję bardzo długo, cierpliwie tłumacząc. Mam zazwyczaj jasną wizję tego, co chcę osiągnąć. Preferuję rodzaj aktorstwa bardzo oszczędny, nieomal dokumentalny. W osiągnięciu prawdy pomaga mi zmieszanie aktorów z naturszczykami, ponieważ aktorzy czerpią tę prawdę na przykład od dzieci. Moja praca z aktorami jest raczej rodzajem spotkania, wymianą energii. Kiedy ludzie dają przyzwolenie i otwierają się, powstaje wrażenie, że są na ekranie prawdziwi.

Czy udało się Pani uwolnić od tego filmu, któremu poświęciła Pani aż cztery lata życia?

A.J.: Dzisiaj rano obudziłam się bardzo szczęśliwa, że to już poszło w świat! Dopiero teraz poczułam, że skończyłam ten film.

Czy pracuje Pani już nad czymś nowym?

A.J.: Piszę kolejny scenariusz. Mogę zdradzić jedynie to, że bohaterką będzie również kobieta w dramatycznej sytuacji, ale z odrobiną czarnego humoru.

Anna Jadowska (ur. 15 czerwca 1973 w Oleśnicy) - polska reżyser, scenarzystka i scenografka. Jest absolwentką Filologii Polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim oraz Wydziału Reżyserii PWSFTviT w Łodzi. Zrealizowała m.in. następujące filmy fabularne: „Generał - zamach na Gibraltarze”, „Z miłości”, „Dotknij mnie”, „Teraz ja”, dokument „Trzy kobiety” oraz dokument fabularyzowany „Generał” (o gen. Władysławie Sikorskim). Ponadto reżyserowała wiele seriali, m.in. „Na dobre i na złe”, „Uwikłani”, „Niania w wielkim mieście”.